

książka do plecaka



**Jasiek Mela**  
poleca

**Karol May**

**Old Surehand**  
**tom 1**

WYDAWNICTWO  SYLONA SOWA

KAROL MAY

# Old Surehand

Tom 1

*ISBN: 978-83-7623-957-6*

Wydawnictwo Zielona Sowa  
Kraków

Tytuł oryginału  
*Old Surehand*

Redaktor serii  
Iwona Misiak

Korekta  
Katarzyna Kierejsza

Projekt graficzny okładki  
Edyta Stajniak

Układ typograficzny  
Piotr Hrehorowicz

Skład i łamanie  
Inter Line s.c.

© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., 2009

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
30-404 Kraków, ul Cegielniana 4A  
tel./fax (012) 266-62-94  
tel. (012) 266-62-92  
www.zielonasowa.pl  
wydawnictwo@zielonasowa.pl

W licznych moich podróżach i dalekich wędrówkach spotykałem często, szczególnie wśród dzikich lub na pół cywilizowanych plemion, ludzi, którzy zostawali moimi przyjaciółmi. Wiernie dochowuję im pamięci i z pewnością nie zapomnę ich aż do śmierci. Nikogo jednak nie kochałem tak bardzo, jak słynnego wodza Apaczów Winnetou. Wszyscy moi czytelnicy znają tego szlachetnego Indianina i wiedzą, jak się z nim zapoznałem; wiedzą także, że przywiązanie moje do tego człowieka gnało mnie z dalekiej Afryki i Azji na prerie, w lasy i góry Ameryki Północnej. Nawet wówczas, kiedy nasze spotkanie nie było z góry umówione, umiałem zawsze odszukać przyjaciela. W takich wypadkach jechałem zwykle nad Rio Pecos do Meskalerów, szczepu Apaczów, do którego Winnetou należał, i tam mi mówiono, gdzie się wódz znajduje. Czasami dowiadywałem się o tym od myśliwych z Zachodu lub od Indian, których spotykałem po drodze.

Niekiedy jednak mogłem mu przed rozstaniem wyznaczyć dokładnie miejsce i czas przyszłego spotkania. Stosowałem się wtedy do wyznaczonej daty, on także. I choć posługiwał się indiańską rachubą czasu, która wydawała mi się niezbyt pewna, przybywał zawsze na oznaczoną minutę. Nie zdarzyło się nigdy, żebym czekał na niego.

Tylko raz sądziłem, że nie był punktualny, ale okazało się, że nie miałem racji. Musieliśmy się rozstać daleko na północy, a w cztery miesiące później mieliśmy się spotkać na południu, w Sierra Madre. Winnetou powiedział wówczas:

- Mój brat zna przecież strumień zwany Clear Brook? Polowaliśmy tam razem. Czy przypominasz sobie odwieczny dąb, pod którym rozłożyliśmy się na noc obozem?

- Oczywiście.

– A zatem nie możemy się minąć. Korona tego drzewa już dawno uschła. Gdy w południe cień dębu będzie miał pięciokrotną długość mojego brata, Winnetou nadejdzie. *Howgh!*

Musiałem, oczywiście, przetłumaczyć to na naszą rachubę czasu i zjawiłem się nad strumieniem w oznaczonym dniu. Nie było tam jednak ani śladu Winnetou, chociaż cień dębu był już odpowiednio długi. Czekałem kilka godzin, ale wódz się nie zjawił. Wiedziałem, że tylko coś bardzo ważnego mogło mu przeszkodzić w dotrzymaniu obietnicy, i zacząłem się niepokoić, kiedy przyszło mi na myśl, że Winnetou już tu był, lecz nie mógł na mnie czekać. W takim razie musiał zostawić jakiś znak. Zbadałem pień dębu i rzeczywiście na wysokości człowieka znalazłem małą gałązkę świerkową. Musiał ją tu ktoś wetknąć umyślnie, i to już dość dawno, gdyż była całkiem zeschnięta. Wyciągnąłem gałązkę. Jej koniec był owinięty kawałkiem papieru. Rozwinąłem kartkę i znalazłem na niej te słowa:

„Niechaj mój brat przybywa czym prędzej do Bloody Foksa\*, na którego chcą napaść Komancze. Winnetou śpieszy, aby go ostrzec”.

Zaniepokoiłem się o przyjaciela, chociaż wiedziałem, że wychodzi zwycięsko z każdego niebezpieczeństwa. Martwiłem się także o Bloody Foksa: będzie prawdopodobnie zgubiony, jeśli Winnetou nie zdoła dotrzeć do niego przed nadejściem Komanczów. Droga, która mnie czekała, również była niebezpieczna. Bloody Fox mieszkał w oazie na pustyni Llano Estacado, a droga do jego siedziby wiodła przez terytorium Komanczów, z którymi ścieraliśmy się niejednokrotnie. Gdybym się dostał w ich ręce, nie uniknąłbym zapewne pala męczarni.

Byłem sam i zdany tylko na siebie, ale miałem dobrą broń i znakomitego konia, któremu mogłem zaufać. Znałem też dokładnie te okolice i wiedziałem, że doświadczonemu westmanowi\*\* łatwiej podróżować samemu aniżeli w towarzystwie ludzi, na których nie może całkowicie polegać. Gdybym miał prócz tego jeszcze jakieś wątpliwości, to musiałyby się rozwiać wobec świadomości, że Bloody Fox jest w niebezpieczeństwie i że trzeba go ratować.

\* Bloody Fox (ang.) – Krwawy Lis.

\*\* *Westman* (ang.) – człowiek żyjący na Dzikim Zachodzie, potrafiący sobie radzić z trudnymi warunkami i niebezpieczeństwami, jakie tam można było napotkać.

Wsiadłem zatem na konia i ruszyłem, tak jak sobie tego życzył mój przyjaciel i brat.

Dopóki znajdowałem się we właściwej Sierze, nie było specjalnych powodów do obaw; miałem się tutaj gdzie ukryć, czułem się więc dość bezpieczny. Dalej jednak ciągnął się nagi płaskowyż, gdzie jeździec był już z daleka widoczny. Przecinały go strome parowy i głębokie kaniony, porośłe z rzadka aloesami i kaktusami, za którymi nie sposób się ukryć. Gdybym w takim kanionie natknął się na Komanczów, ocalić mnie mogła jedynie natychmiastowa ucieczka oraz rącość i wytrwałość mego konia.

Najniebezpieczniejszym z tych wąwozów był tak zwany Mistake Canyon, ponieważ stanowił uczęszczaną drogę indiańską między górami a równiną. Nazwę swoją zawdzięczał tragicznej pomyłce: opowiadano, że pewien biały myśliwy zastrzelił tutaj swego najlepszego przyjaciela Apacza zamiast wroga Komancza. Kim był ten biały i kim byli ci dwaj Indianie – wówczas jeszcze nie wiedziałem. Ten rzeczywiście niebezpieczny kanion omijano z daleka – zabobonni westmani twierdzili, że rzadko udaje się białemu przejść tędy bez szkody. Duch zabitego Apacza miał każdego przywozić do zguby.

Zanim dotarłem do miejsca wypadku, zauważyłem ślady większego oddziału konnych, którzy nadjechali z boku, a potem posuwali się w tym samym co ja kierunku. Zsiadłszy z wierzchowca i zbadawszy trop, spostrzegłem ze zdumieniem i radością, że konie były podkute. Jeźdźcy nie należeli zatem do rasy czerwonej. Nieco dalej jeden z nich zsiadł z konia, prawdopodobnie aby poprawić popręg, a reszta pojechała dalej. Zbadałem dokładnie to miejsce i zauważyłem obok śladów lewej nogi kilka krótkich, wąskich wcięć, jakby od grzbietu noża. Czyżby jeździec miał szablę? Czyżby wojsko wyruszyło przeciw Komanczom, by ich ukarać za rozbójnicze wyprawy? Zaciekawiony, ruszyłem cwałem za tropem. Im dalej jechałem, tym więcej znajdowałem śladów zbiegających się z różnych stron i wiodących potem w jednym kierunku. Nie było już wątpliwości, że przede mną przejechali żołnierze, a kiedy po pewnym czasie minąłem odnogę gęstego lasu kaktusowego, ujrzałem przed sobą obóz. Zauważyłem od pierwszego rzutu oka, że nie rozbito go na krótko. Pas kaktusów zabezpieczał oddział przed napadem z tyłu i z boków, a z przodu

rozciągała się otwarta przestrzeń, tak że niespodziany napad był niemożliwy. Nie zauważono jednak, że zbliżam się od zachodu. Nawet w biały dzień należało postawić tutaj straż. Zaniechanie tej ostrożności było karygodnym niedbalstwem. Co by się stało, gdyby zamiast mnie nadciągnęła gromada Indian? Po przeciwnej stronie teren opadał ku kanionowi, gdzie musiało być pod dostatkiem wody. Konie leżały lub chodziły puszczzone wolno. Dla osłony przed żarem słonecznym rozciągnięto nad kaktusami prześcieradła. Jeden wielki namiot był przeznaczony dla oficerów, a obok niego, w cieniu, przechowywano także zapasy żywności. W pobliżu leżało kilku cywilów, którzy widocznie chcieli przemocować pod opieką wojska, gdyż dzień miał się już ku końcowi. Postanowiłem zrobić to samo. Mogłem wprawdzie jechać dalej, lecz musiałbym potem obozować samotnie i czuwać całą noc ze względu na bezpieczeństwo. Tutaj mogłem znaleźć odpoczynek potrzebny mi do jutrzejszej jazdy.

Skoro tylko mnie spostrzeżono, wyszedł na moje spotkanie podoficer i zaprowadził do komendanta, który widząc ruch w obozie, wyszedł z oficerami z namiotu. Kiedy zsiadłem z konia, przypatrzył się uważnie mnie i mojemu wierzchowcowi, a potem spytał:

- Skąd jedziecie, sir?
- Z Sierry.
- A dokąd?
- Nad Rio Pecos.
- Mielibyście z tym wielkie trudności, gdybyśmy nie przepłoszyli tych łajdaków Komanczów. Czy znaleźliście gdzieś ich ślady?
- Nie.
- Hm! Zawrócili widocznie na południe. Siedzimy tu już prawie od dwu tygodni, a żaden nie pokazał nosa.

Ośle! - miałem ochotę mu powiedzieć. - Chcąc złapać czerwoskórych, musiałbyś ich poszukać. Ani im się śni wpadać ci dobrowolnie w ręce.

Komendant nie mógł się zorientować, gdzie są Komancze, ale oni wiedzieli dokładnie, że wojsko tu się znajduje. Z całą pewnością podchodzili nocami pod obóz. Jak gdyby odgadłszy moje myśli, oficer dodał:

- Brak nam tęgiego zwiadowcy, któremu mógłbym zaufać i który by ich wytropił. Old Wabble nocował u nas i byłby odpowiedni

do tej funkcji, lecz dopiero po jego odejściu dowiedzieliśmy się, że to był właśnie on. Ten szelma zwąchał pewnie pismo nosem i podał się za jakiegoś Cuttera. Przed tygodniem nasz patrol natknął się na Winnetou, który byłby jeszcze lepszy, lecz umknął czym prędzej. Mówią, że gdzie on się pokaże, tam i Old Shatterhand\* jest niedaleko. Chciałbym go mieć tutaj. Jak się nazywacie, sir?

– Charley.

Podąłem mu swoje imię, które mogło uchodzić także za nazwisko. Ani mi się śniło informować go, że to ja właśnie jestem Old Shatterhandem. Nie miałem ani czasu, ani ochoty zostawać tutaj i wysługiwać się komendantowi jako szpieg. Jednocześnie przyjrzałem się leżącym na ziemi cywilom i uspokoilem się, nie znalazłszy ani jednej znajomej twarzy. Mógł mnie tylko zdradzić wierzchowiec i broń. Wiedzano powszechnie, że Old Shatterhand ma rusznicę na niedźwiedzie i sztucer Henry’ego oraz jeździ na czarnym ogierze darowanym mu przez Winnetou. Na szczęście komendant był na tyle ograniczony, że nie wpadł na to. Wrócił do namiotu, nie pytając o nic więcej.

Ale to, czego nie domyślił się oficer, mógł odgadnąć któryś z cywilów będących niewątpliwie myśliwymi z Zachodu. Toteż wsunąłem nieznacznie sztucer do skórzanego futerału, żeby nie było widać jego osobliwego zamka. Rusznica mniej wpadała w oko. Rozsiodłałem ogiera i puściłem go wolno. Trawy tu wprawdzie nie było, ale pomiędzy wielkimi kaktusami rośło mnóstwo melokaktusów, dostatecznie soczystych i pożywnych. Mój karosz\*\* umiał te rośliny obierać z kolców, nie kalecząc się wcale.

Kiedy potem poprosiłem myśliwych, aby mi pozwolili przysiąść się do nich, jeden z nich powiedział:

– Siadajcie, sir, i zjedzcie coś z nami, jeśli łaska. Nazywam się Sam Parker, a gdy mam jeszcze kawałek mięsiwa, każdy uczciwy człowiek może się nim pożywić, dopóki zapasy się nie skończą. Jesteście głodni?

– Zdaje mi się, że tak.

– To ukróćcie sobie, ile chcecie. Jesteście tu wśród samych westmanów, sir. A wy? Co robicie?

---

\* Shatterhand (ang.) – Grzmocąca Ręka.

\*\* Karosz – koń maści czarnej.

– Ja też tułam się czasami po tej stronie Missisipi, ale nie wiem, czy mógłbym się nazywać westmanem. Dużo potrzeba, aby nim zostać.

Parker odchrząknął z zadowoleniem i rzekł:

– Macie słuszość, sir, zupełną słuszość. Cieszy mnie, że spotykam człowieka skromnego, który będąc stróżem nocnym, nie uważa się zaraz za prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mało teraz takich ludzi. Co robicie tu na Zachodzie? Myśliwy? Nasta-wiacz sideł? Zbieracz miodu?

– Poszukiwacz grobów, mister Parker.

– Poszukiwacz grobów?! – zawołał zdumiony. – Czy drwicie z nas, sir?

– Ani mi to przez myśl nie przeszło.

– Więc bądźcie tak dobrzy i wytłumaczcie się, jeśli nie mam wbić wam noża między żebra. Nie pozwolę z siebie wariata strugać.

– *Well*. Chcę zbadać, skąd pochodzą dzisiejsi Indianie. Słyszeliście już może, że zawartość grobów może w tym bardzo pomóc.

– Hm! Rzeczywiście czytałem o tym, że są ludzie, którzy rozkopują dawne groby, aby w ten sposób studiować historię czy coś podobnego. To wierutne głupstwo! I tym się właśnie zajmujecie? A więc jesteście uczonym?

– *Yes*.

– Niech was Bóg ma w swojej opiece, sir! Możecie łatwo wpaść nosem w grób i zostać tam na zawsze. Jeśli szukacie zwłok, to czyńcie to w takich okolicach, gdzie jesteście pewni swego życia. Tutaj kule i tomahawki świszczą w powietrzu. Komancze ruszyli ze swoich siedzib. Czy umiecie strzelać?

– Trochę.

– Hm, wyobrażam sobie! Jak widzę, macie starą rusznicę, którą można mury walić. To ma swoje znaczenie. A tam w tym futerale to pewnie taka fuzyjka na niedzielę? Powiadam wam, sir, że tu niebezpiecznie szukać trupów. Zabierajcie się stąd. Albo przyłączcie się do nas, zawsze to bezpieczniej aniżeli samemu.

– W jakim kierunku jedziecie?

– Także nad Pecos, tam gdzie i wy. Słyszeliśmy, żeście o tym mówili przed chwilą.

Obrzucił mnie na poły łaskawym, na poły ironicznym spojrzeniem i mówił dalej:

– Wyglądacie wcale nieźle, jak obłuskane jajo, ale to nie przyda się na nic w tych stronach, sir. Prawdziwy westman wygląda całym inaczej. Mimo to podobacie mi się i zapraszam was do naszej kompanii. Obronimy was, gdyż w pojedynkę nie zdołacie się przebić. Macie, zdaje się, coś, co we wschodnich stanach nazwano by z pewnością koniem. Czy ten dyszłowy jest waszą własnością?

– Tak, oczywiście, Mr Parker – odrzekłem, ubawiony szczerze, że mego rasowego indiańskiego ogiera, z którym tylko karosz Winnetou mógł się równać, uważa za konia pociągowego.

– Spodziewałem się tego – mówił dalej Parker. – Koń wygląda tak samo gracko jak wy. Widać po nim, że także szuka zwłok dawno zmarłych ludzi i nie ma nic innego do roboty. A więc jedziecie z nami? Wyruszamy jutro wczesnym rankiem.

– Przyjmuję z wdzięcznością waszą propozycję i proszę was o opiekę.

– Będziecie ją mieli i sądzę, że bardzo wam się przyda. Rad będę, gdy już stąd odjedziemy, bo komendant gotów któregoś z nas zatrzymać jako zwiadowcę. Nieprawdaż, Jozie?

Z pytaniem tym zwrócił się do starszego mężczyzny z sympatyczną twarzą o melancholijnym wyrazie, jak gdyby dręczyło go jakieś ukryte zmartwienie. Joz jest skrótem od Jozue. Jak się później dowiedziałem, człowiek ten nazywał się Jozue Hawley.

– Jestem tego samego zdania – odrzekł zapytany. – Tego jeszcze brakowało, żeby za tych wojaków wyciągać kasztany z ognia i poparzyć sobie przy tym przednie łapy. Gdyby chociaż zatrzymali Old Wabble'a! To był odpowiedni człowiek. Będę szczęśliwy, kiedy się stąd wyniesiemy i przedostaniemy przez Mistake Canyon.

– Czemu? Czy obawiasz się ducha zabitego Indianina?

– Obawiać się? Nie. Ale ten kanion to paskudne miejsce. Przeżyłem tu coś, co nie każdy codziennie przeżywa, i znalazłem przy tym złoto.

– Naprawdę? Czy odkryliście je przypadkiem, Jozie?

– Nie. Drogę pokazał nam Indianin.

– Trudno w to uwierzyć. Czerwonoskóry nigdy takich rzeczy nie wyjawia białemu, jeśli nawet jest jego najlepszym przyjacielem.

– W takim razie był to wyjątkowy wypadek. Indianin był właśnie tym, którego później zastrzelono w kanionie. Opowiem wam może tę historię, gdy jutro pojedziemy tamtędy. Teraz wolę o tym

zamilczeć. Daj no mi jeszcze mięsa, jestem głodny. To wprawdzie tylko antylopa, ale musi smakować, kiedy nie ma nic innego. Wolałbym kawał garbu bizona albo polędwicę z łosia.

– Z łosia? Ach, łoś, słusznie! – zawołał Parker, mlaskając językiem. – To najdelikatniejsza i najsoczystsza pieczeń. Ilekroć pomyślę o łosiu, przychodzi mi na myśl westman, który właściwie zrobił ze mnie myśliwego.

– Kto to był?

– Imię jego wymieniono przed chwilą. Mam na myśli Old Wabble'a.

– Co? Old Wabble'a? Więc znałeś go?

– Czy go znałem? Co za pytanie! Pod jego okiem przeżyłem na Zachodzie moją pierwszą przygodę. Opowiem wam o tym, chociaż na pewno uśmiejecie się ze mnie porządnie.

Parker wyprostował się, zrobił wielce obiecującą minę i zaczął opowiadać:

– Old Wabble nazywa się właściwie Fred Cutter, lecz z powodu chwiejnego kroku i wiszącego na chudym ciele ubrania przeważano go Old Wabble'em. Był dawniej w Teksasie kowbojem i tak przywykł do tamtejszego stroju, że później, na północy, nikt nie zdołał go namówić do zmiany ubrania.

Miał bardzo charakterystyczną twarz, pomarszczoną, zawsze gładko wygoloną, z grubymi jak u Murzyna wargami, długim, spiczastym nosem i szarymi oczyma, którym nic ujść nie mogło, chociaż powieki były zawsze na pół przymknięte. Czy twarz ta była spokojna, czy też ożywiało ją jakieś uczucie, miała zawsze wyraz niezachwianej wyższości. Było to zupełnie uzasadnione, gdyż Old Wabble słynął nie tylko jako mistrz w konnej jeździe, strzelaniu i rzucaniu lassem, lecz nie brak mu było także żadnej z cech prawdziwego westmana. „*It's clear* – to jasne”, zwykł był mawiać. Nawet najtrudniejsze rzeczy były dla niego zupełnie proste i zrozumiałe.

Ja byłem wtedy w Princeton czymś w rodzaju pisarza na budowach i zarobiłem wreszcie tyle, że mogłem się wybrać do Idaho na poszukiwanie złota.

Byłem greenhornem\*, zupełnym nowicjuszem i aby nie dzielić się z większą liczbą współników zdobytymi skarbami, wziąłem

---

\* *Greenhorn* (ang.) – żółtodziób, człowiek niedoświadczony.

ze sobą jednego tylko towarzysza, Bena Needlera, który tak samo znał Dziki Zachód jak ja.

Gdy w Eagle Rock wysiedliśmy z wozu, byliśmy wystrojeni jak eleganci, a obładowani jak juczne osły różnymi pięknymi przedmiotami, które niestety nie nadawały się do użytku. Kiedy zaś po tygodniu przybyliśmy nad Payette River, wyglądaliśmy jak prawdziwe włóczęgi; umieraliśmy z głodu i porzuciliśmy po drodze niepotrzebne rzeczy, to znaczy wszystko z wyjątkiem broni i amunicji. Przyznam się wam jednak otwarcie, że za kawał chleba z masłem byłbym oddał całe swoje uzbrojenie, a Ben Needler myślał pewnie tak samo.

Siedzieliśmy na skraju lasu, trzymaliśmy otarte do krwi stopy w wodzie i rozmawialiśmy o różnych delikatesach, o których nie myślelibyśmy nawet w innych warunkach, a więc o sarniej łopatce, o polędwicy z bizona, o łapach niedźwiedzich, o pieczeni z łosia. W tej okolicy widywano jakoby bizona i łosie.

- Do licha! Gdyby teraz to bydlę podeszło blisko, wpakowałbym mu z rozkoszą dwie kule pomiędzy rogi... - mówił Ben, młaskając językiem.

- A potem byłoby po was! - zabrzmiał tuż za nami jakiś roześmiany głos. - Łoś zrobiłby z was marmoladę. Temu zwierzęciu nie strzela się między rogi. Wylali was chyba z jakiejś szkoły w Nowym Jorku?

Zerwaliśmy się i spojrzeliśmy za siebie. Z zarośli wyszedł Old Wabble, który podsłuchiwał naszą rozmowę, i stał przed nami taki, jakim go opisałem poprzednio. Jego twarz nie wyrażała nadmiernego szacunku. Mierzył nas pobłażliwym spojrzeniem na pół przymkniętych oczu. Pominę rozmowę, która potem nastąpiła. Przeegzaminował nas jak surowy nauczyciel i polecił pójść za sobą.

Mniej więcej o milę od rzeki stała na prerii otoczonej dookoła lasem chata zbudowana z grubych bali. Było to, jak mówił stary westman, jego ranczo. Za chatą znajdowało się kilka bud bez drzwi, przeznaczonych w razie niepogody dla koni, mułów i bydła, które teraz pasły się na nieogrodzonym polu. Już wtedy bowiem Old Wabble przedzierzgnął się z kowboja w samodzielnego hodowcę. Służba jego składała się z białego dozorczy Willa Littona i z kilku Indian z plemienia Wężów. Gdyśmy przybyli, ludzie ci pakowali na lekki wóz namiot i inne przedmioty.

– To jest coś dla was – rzekł stary westman. – Chcecie polować na łosie, a ja właśnie robię przygotowania do wyprawy myśliwskiej. Pójdziecie ze mną i zobaczcie, co potraficie. Jeśli się okażecie zdatni do czegoś, to możecie zostać u mnie. Ale na razie wejdźcie do domu, gdyż głodny strzelec robi tylko dziury w niebie.

Bardzo nam to było na rękę. Zjedliśmy i zaspokoiliśmy pragnienie, po czym ruszyliśmy w drogę, ponieważ Old Wabble'owi ani się śniło odwlekać wyprawy z naszego powodu. Dostaliśmy od niego konie i pojechaliśmy najpierw nad rzekę. Znaleźliśmy bród, przez który należało przejść. Pochód prowadził stary westman; na jego prośbę jechałem obok niego. Za nim szedł luzem prowadzony za uzdę muł. Przeprawiwszy się przez rzekę, zobaczyliśmy resztę orszaku sunącą za nami: Ben Needler jechał na gniadym koniu, Will Litton na siwym, a za nimi toczył się wóz zaprzężony w cztery konie. Powoził nimi jeden z Indian, zwany Pak-muh, czyli Krwawa Ręka. W swoim europejskim ubraniu nie wyglądał co prawda wcale tak krwawo. Jego współplemieńcy, na których stary myśliwy mógł się zdać we wszystkim, pozostali na ranczu.

Przebywszy bród, jechaliśmy przez pewien czas rzadkim lasem. Następnie otwarła się przed nami zielona, bezdrzewna dolina wychodząca na trawiastą sawannę\*. Gdy po kilku godzinach dostaliśmy się na drugi jej koniec, gdzie teren zaczął się wznosić, rozłożyliśmy się obozem. Zdjęto z wozu pakunki, rozbito namiot, przywiązano konie i rozniecono ognisko. Tu mieliśmy się zatrzymać, aby zapolować na widłorogie antylopy albo na bizony, jeśli się na nie natkniemy. Po upływie paru dni my, biali, zamierzaliśmy się udać na wyżej położone bagnisko, gdzie, jak twierdził Old Wabble, było mnóstwo łosi, w obozowisku zaś miał pozostać Krwawa Ręka.

Niestety, ani tego dnia, ani następnego nie pokazało się żadne zwierzę nadające się do ustrzelenia, co starego niezmiernie złościło. Mnie jednak było to na rękę, gdyż spodziewałem się ostrego osądu moich myśliwskich umiejętności. Umiałem na trzydzieści kroków trafić w wieżę kościelną, ale byłem zupełnie pewien, że

---

\* Sawanna – zbiorowisko roślinne złożone głównie z wysokich traw i rzadko rozrzuconych drzew i krzewów.

zrobiłbym tylko wielką dziurę w niebie, gdybym musiał uszczelić na sześćdziesiąt kroków szybko nogą antylopy.

Old Wabble wpadł tymczasem na niefortunny pomysł wypróbowania naszych zdolności i zażądał, abyśmy strzelali do sępów, które siedziały o jakieś siedemdziesiąt kroków od nas na szkieletcie bizona. Ja miałem pierwszy popisać się swoimi umiejętnościami. Sępy musiały być ze mnie zupełnie zadowolone, gdyż stało się tak, jak przewidywałem. Wypaliłem czterokrotnie i nie trafiłem ani razu. Żadnemu ze ścierwożerców nie przyszło nawet na myśl uciekać po strzałach. Ptaki te wiedzą doskonale, że nikomu rozsądnemu nie przyjdzie do głowy, aby je prześladować. Strzał znęca je, zamiast odstraszyć, ponieważ z ubitej zwierzyny zawsze zostają dla nich przynajmniej wnętrzności. Ben chybił dwa razy i dopiero trzecia kula trafiła jednego sępa, a resztę spłoszyła.

– Niezrównane! – śmiał się Old Wabble, potrząsając długimi, niezdarnymi rękami. – Moi panowie, to jasne, że jesteście jakby stworzeni dla Dzikiego Zachodu. Jestem o was zupełnie spokojny! Już teraz osiągnęliście szczyt doskonałości. Wyżej zająć nie możecie.

Ben przyjął ze spokojem ten wyrok, ja jednak wybuchnąłem gniewem, co oczywiście miało tylko ten skutek, że mi Old Wabble powiedział:

– Zamilczcie lepiej! Wasz kolega trafił przynajmniej za trzecim razem, można się więc po nim czegoś spodziewać, wy zaś jesteście dla Zachodu człowiekiem straconym. Nie mogę was zatrudnić i dam wam tylko dobrą radę, żebyście się czym prędzej z tych stron wynieśli.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy na bagna w górach nad Salmon River. Żywność, naczynia, koce i inne rzeczy wpakowano na muła, a wóz, którego nie można było użyć na górskich bezdrożach, został w obozie. Nasza droga była bardzo niebezpieczna, szczególnie tam, gdzie Snakes Canyon tworzy kąt ostry i gdzie trzeba zjeżdżać stromą ścianą w głąb, aby się dostać po drugiej stronie na ścieżkę Wihinash. Na prawo niebotyczna skała, na lewo czarna otchłań, a w środku przesmyk o szerokości zaledwie dwu łokci. Szczęściem nasze konie przywykły do takich dróg, a ja nie cierpiałem nigdy na zawroty głowy. Przedostaliśmy się